

MAŁY ŚWIATEK



Rok 41. 1. listopada Nr. 3.

PISMO ILUSTR. DLA STARSZEJ DZIATWY.

Cena egz. 20 gr.



DZIESIĘCIOLECIE ODRODZONEJ POLSKI.

Przed dziesięciu laty, po przeszło wiekowej niewoli, my, Polacy, uczuliśmy się wolnymi, nasza Ojczyzna zdobyła sobie niepodległość. Spełniły się proroctwa naszych wieszczów, krew kilku pokoleń nie nadarmo została przelana. Serca polskie radośnie witały manifest Rady regencyjnej, ogłaszający dnia 8 października 1918 roku „niepodległe państwo polskie, zjednoczone z wszystkich ziem polskich zamieszkałych przez Polaków“. Zdobyliśmy Polskę krwią naszych praojców, by po latach niewoli móc pracować dla niej. Z triumfem patrzyliśmy na Niemców, opuszczających naszą stolicę i zachodnią część ziemi polskiej. Na południu i północy trwały zacięte walki o te dwa środowiska polskie, jakimi są Lwów i Wilno. Obrona Lwowa przeszła do historii, znacząc się ofiarnymi czynami młodzieży polskiej. Tam ginęły dzieci, nasze polskie orlęta, a przykład ich gorącego patriotyzmu pobudził resztę narodu do wysiłków, któreby zmusiły wroga do oddania tego, co było i będzie polskie. Wśród walk o niepodległość należy wspomnieć naszych bohaterów.

Na przód wysuwa się postać Józefa Piłsudskiego, jako komendanta legionów i późniejszego Naczelnika państwa. Legiony, to zastępy dzielnych i ofiarnych Polaków, skupionych koło swego wodza, gotowe do walki o Polskę. Nie trzeba zapominać i o błękitnym generale Hallerze i halerczykach, którzy na obcej ziemi, zorganizowani w armję wrócili do

Ojczyzny, by ją osłaniać swą piersią. Miała Polska swych obrońców, którzy potrafili dla niej walczyć i umierać!

W roku 1919 przystąpiono do zwołania pierwszego walnego Sejmu Odrodzonej Polski, na którym podjęto pracę nad konstytucją polską. W grudniu 1922 roku nastąpił wybór pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej, Gabriela Narutowicza. Po jego tragicznej śmierci wybrany zostaje Stanisław Wojciechowski.

Mając swój własny rząd i Sejm, mogła Polska zacząć pracę nad pomnażaniem dobrobytu i porządku. W ciągu ostatnich lat dziesięciu trwała praca nad podniesieniem kraju w każdej dziedzinie życia. Zwrócono baczna uwagę na rozwój szkół, poczynając od szkół powszechnych, kończąc na uniwersytetach. Każdy Polak musi umieć czytać i pisać.

Trzeba w wolnej Polsce zwalczać ciemnotę i nieuctwo, bo te dają możność działania naszym wrogom przeciwko nam. Nietylko szkolnictwo, lecz także gospodarcze stosunki wymagają pracy, bo potrzeba nam Polski silnej zarówno duchowo jak i materialnie. Dzisiaj na czele państwa stoi prezydent Ignacy Mościcki, człowiek zasłużony na polu nauki polskiej. Nie brak nam ludzi poświęcających się nauce, powiększających dorobek kulturalny Polski przez swe dzieła. Takimi byli zmarli przed dwoma laty: Zeromski, Kasprzewicz, Rejmont i inni.

By jednak móc oglądać silną Polskę, trzeba pracy. Nie żałujmy więc sił naszych. Nie zważając na trudy i ofiary, pracujmy z wielką, niezwyciężoną niczem miłością, aby tylko Ojczyzna nasza była coraz wspanialsza, potężniejsza. Jesteśmy cegielkami w olbrzymiej budowie, której imię — POLSKA. Niech każdy Polak i Polka pamięta o trudach i krwi przelanej za wolność Ojczyzny, ażeby i ich życie stało się godne imienia Ojców, aby i o nich powiedziano w przyszłości, że żyli dla Boga i Ojczyzny.

J. Podgórska.



DZIESIĘCIOLECIE WOLNOŚCI.

*O Matko Polsko, wielką i potężną
pragniem Cię stworzyć nie walką orężną,*

<i>jeno tą pracą, wytrwałą, uczciwą,</i>	<i>jeno dla Boga i dla Ciebie, Święta,</i>
<i>jeno tą pracą, cichą a cierpliwą,</i>	<i>byś była wielka, wolna, uśmiechnięta!</i>
<i>co dnia każdego tworzy i buduje,</i>	<i>Abyśmy wszyscy mieli dosyt chleba</i>
<i>a nie dla sławy, rozgłosu pracuje,</i>	<i>i radość życia, której nam tuk trzeba,</i>

*bośmy ją niegdyś stracili w niewoli
i pamiętali jeno to, co boli.*

<i>Dzisiaj się nam trzeba nauczyć uśmiechu,</i>	<i>i sercem swoim dzielił się jak chlebem,</i>
<i>tej beztróskliwej radości bez grzechu,</i>	<i>miłował pracę, zapoznał się z śpiewem,</i>
<i>aby duchownych nie było nędzarzy,</i>	<i>by nie zazdrościł bogatszym od siebie,</i>
<i>by wolny Polak miał uśmiech na twarzy</i>	<i>a biedniejszemu był bratem w potrzebie.</i>

Marja Czeska-Mączynska.



BÓG I OJCZYZNA.

Pod lipą na wzgórku stoi czarny, smutny krzyż. Lipa cicho wciąż szeleszcze, drzy może, bo nie dalej jak wczoraj widziała wojnę... Drzy więc i szepcze: boję się, boję...

Jest cudny, pogodny dzień.

Krętą ścieżką wśród pól idzie Józek do krzyża. Krzyż, to jego jedyny przyjaciel, którego kocha najgoręcej ze wszystkiego na świecie, bo w krzyżu znajduje obraz swego Boga, któremu oddaje się wszystko, dołę i niedolę, serce i życie.

Dzisiaj twarzyczka chłopca dziwnie patrzy na rozpiętego Chrystusa. W oczach Józka przebija lęk, ale i jakaś dziwna, wielka radość, dużo radości...

Usiadł pod krzyżem, objął go rękoma i pokazuje pierścien z sygnetem: to znak od pułkownika. Jutro ma być bitwa, a pułkownik powierzył jemu, małemu Józkowi, rozkaz do armii polskiej, która stoi okopana za drugą wsią. — Jutro w południe ma być atak... a ten sygnet, to znak od pułkownika. Chłopcu aż dygocze serduszek.

— Pan Jezus z krzyża musi się też ze mną cieszyć — mówi po cichu, podnosząc głowę i patrząc serdecznie na rozpięte ramiona i bolesne oczy.

— Jutro atak — ach, Jezu, dopomóż im!...

Znów patrzy z dumą na sygnet i bije mu mocno małe serduszek, w którym zamknął swoje dwa wielkie, święte ukochania: Boga i Ojczyzny.

Ale wtem, tuż za sobą słyszy nagle tętent po polnej ścieżce, parskanie koni i gwar głosów. Józkowi zdawało się, że krew ścina mu się lodem.

— O Jezu! — pomyślał — Bolszewicy!

Wiedział, że za późno było uciekać i kryć się w rowie, więc

ścisnąwszy sygnet w piastce, siedział spokojnie u stóp krzyża, z twarzą pogodną i jasną, by jak najmniej zwrócić na siebie uwagi.

Jadą Bolszewicy... zatrzymują się w cieniu lip... Józek czuje, że blednie, ale patrzy wciąż przed siebie z pogodnym uśmiechem... Ostatecznie zginie... to jeszcze nic...

Bolszewicy schodzą z koni.

— Hej! mały, a ty skąd?

Józek pokazuje ręką wieś, ukrytą wśród sadów zielonych i lip.

— A czego włączysz się polach, hę? Czy nie wiesz, że to teraz niewolno?

Chłopak wzrusza ramionami.

— Co ja mam wiedzieć? — odparł i spojrzał na Moskali dziecinnymi, pogodnymi oczyma.

Co za szczęście, że go nie pytają gdzie idzie!

Lecz nagle żołnierz, który dotychczas stał przy koniach, zbliżył się do rozmawiających i począł się bacznie wpatrywać w Józkową twarz. A chłopcu znowu mrowie przeszło po kościach. Boże! to Wasyl, który kiedyś śmiał się z krzyża i świętych wobec niego i jeszcze innych dzieci! Wtedy on, Józek, napadł na żołnierza z piastkami, wołając głośno: niewolno, niewolno! — i ledwo cudem uszedł po tej przygodzie.

— Może i złem zrobił, żem napadł — myśli teraz — ale nie mogłem zdzierżyć... O Jezu!

— Ej koledzy, to ziółko! — mówi ironicznie Wasyl, schylając się nad Józkiem. — Czego on się tak nas boi? Zrewidować go! Za ważną robi minę!

I odwróciwszy się począł coś mówić po rosyjsku, śmiejąc się głośno i pokazując palcem. Żołnierze otoczyli Józka w jednej chwili, a on stał błądy, nieruchomy, ściskając w piastce sygnet pułkownika.

— Co to? — zawołał Wasyl głosem pełnym triumfu, otwierając przemocą dziecinną rączkę. — Co to za sygnet? Hej koledzy, on musi mieć jakieś zlecenie!

Oczy Wasyla błyszczały radością. Zacierał ogromne dłonie i odwracał się do żołnierzy: teraz dowie się wszystkiego, zemści się i nagroda go nie minie.

— Co niesiesz za rozkaz i do kogo? — Gadaj, czy słyszysz?!

A Józek stoi taki błądy, bledziusięki, z jasną czupryną narzuconą na czoło i tylko oczy promienne, dziecinne, podniósł z ufnością na czarny krzyż. Józek zna hasło: Bóg i Ojczyzna — wie, że powtórzyć słowa pułkownika byłoby zdradą. A cóż mu grozi? Najwyżej śmierć — to jeszcze nic...

Więc Józek milczy.

— Jak nie powiesz — krzyczy Wasyl — to ci czaszkę rozbijemy w tej chwili! — i twarz jego zacięta gniewem dotknęła prawie twarzyczki chłopca. Ale nie zdołała ta chmura przesłonić jasnego czoła, ani odwrócić oczu utkwionych w krzyż...

— Lepiej zrobimy! — zawołał nagle Wasyl — Lepiej zrobimy! — powtórzył z naciskiem i począł cedzić przez zęby. — Jeśli nie wyśpiasz wszystkiego zwałę ten krzyż — słyszysz... ten krzyż!...

Twarzyczka chłopca śmiertelnie blada drgnęła nagle bolesnym, przerażonym wyrazem.

— Jakto? — i myśli błyskawicznie biegną jedna za drugą. — Jakto? Więc zwalić chcą ten krzyż, dlatego, że on, Józek, nie chce zdradzić rozkazu... Nie! Bóg i Ojczyzna!...

I nagle rzuca się przed siebie, ku temu samotnemu, bezbronemu krzyżowi i woła swym dziecinnym głosem:

— Zabijcie mnie, błagam was, a nie znieważajcie mojego krzyża!

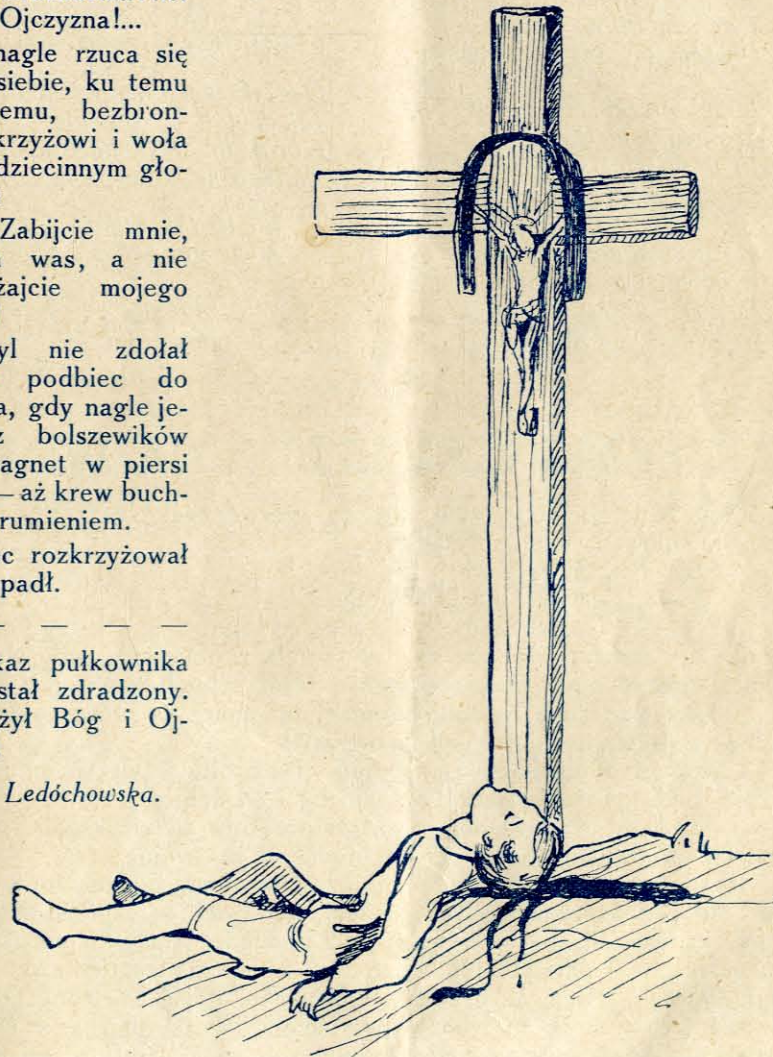
Wasyl nie zdołał jeszcze do chłopca, gdy nagle jeden z bolszewików wbił bagnet w piersi Józka — aż krew buchnęła strumieniem.

Malec rozkrzyżował ręce i padł.

— — — — —

Rozkaz pułkownika nie został zdradzony. Zwyciężył Bóg i Ojczyzna.

T. Ledóchowska.



CZYŚCOWE DUSZYCZKI.

Wiatr strąca liście jesienne,
Na grobach ścielą się kwiaty,
A bezszelestne duszyczki
W nieznane idą zaświaty.

W śmiertelny całun spowite
Wśród cieniów błędzą i lecą,
Tylko modlitwy żyjących
Czasem im drogę rozświecą.

Są takie duszki szczęśliwe,
Co zostawiły na ziemi
Wielu przyjaciół serdecznych,
Którzy się modlą za nimi.

Może strapiona matenka
Z bólem w splekanej źrenicy
Poleca dziecko najdroższe
Opiece Bogarodzicy.

I leci sobie duszyczka
Złoty ją obłok otula,
Bo gdzieś w izdebce samotnej
Modli się za nią matula.

A są duszyczki sieroty,
Którym w czyścowej ciemności
Zabrakło ludzkiej modlitwy,
Zarakło bratniej miłości!

Odeszły w dal... nieptakane,
Jak kwiat, co wędnie i znika —
I brak im w cieniach grobowych
Złotego modlitw promyka...

Bo troska tylko „o swoich“
Zacieśnia serce i podli...

Więc módlmy się za duszyczki,
Za które nikt się nie modli.

S. M. T



JAK SAMOWAR SZEDŁ NA WOJNĘ.

Moje wnętrze rozżarzyło się do czerwoności i zacząłem, jak co wieczór, śpiewać cichą kołysankę:

— Sy, sy... Sy-sy...

— Janie, samowar się już gotuje.

Stary Jan ustawił mnie na tacy, srebrna była i z tego powodu beżmiernie zarozumiała, zawsze trzeszczała z oburzenia, gdy stawałem na niej mojemi mosiężnymi nóżkami i teraz syknęła gniewnie:

— Jak pan śmie po mnie deptać, po mnie, na której ostatniemu królowi polskiemu chleb i sól podawano!

Chciałem odpowiedzieć, ale Jan pieszczotliwie wytarł mnie irchą (skórką białą), bym błyszczał wspanialej i westchnął:

— Ostatni to już raz nosię go do stołu, jutro kazała go pani odstawić do wojska, pójdzie i on biedaczek na wojnę.

Rozdygotałem się wzruszeniem, zrozumiałem, że mam opuścić ten dom miły, z którym się tak zżyłem, ten mój ką, gdzie stałem na szafce zawsze ślicznie wyczyszczony, pomiędzy lśniącym moździerzem i tacą srebrną i patrzyłem na ruch w kuchni; znałem tu każdy rondel, każdy garnek, byłem tu u siebie. I oto mam pójść w strony nieznane. Rozstać się z moją ukochaną przyjaciółką herbatniczką z chińskiej porcelany, która zawsze słuchała mojego śpiewu, drząc od wzruszenia. Jan zdjął ją właśnie z półki i, jak co wieczór, nasypał herbatę; zobaczyłem znowu jej śliczny pękaty kształt z figurynkami w zabawnych, obcych

strojach. Słyszała i ona słowa Jana, bo zamiast jak zawsze marzyć o Chinach, o kwitnących drzewach wiśniowych, chryzantemach (jastruniach) białych, o obcym, dalekim kraju, westchnęła ledwo dosłyszalnie:

— Idziesz przyjacielu...

— Jutro...

Jan włożył białe rękawiczki i wziął nas do pokoju. Dygotałem wciąż ze wzruszenia i czułem, jak moja przyjaciółka drży także.

— Tyle lat byliśmy razem...

— Tyle lat...

— Kochałam pana i teraz...

Czy Janowi taca drgnęła, czy ja zadygotał silniej, czy herbatniczka z chińskiej porcelany tak się zawstydziła swego wyznania, dość że nagle: Brzęc!

Zsunęła się i rozprysnęła w tysiące kawałeczków na śliskiej posadce.

Jan skamieniał w bezruchu, krzyknęła pani, zasyczałam ją, patrząc na szczątki mojej przyjaciółki, a z noska kapnęła mi łza gorąca i płynęła jedna za drugą...

Taca chichotała złośliwie.

— Kap, kap, noskiem płacze, noskiem płacze...

Zająłem miejsce, jak zawsze na staroświeckim bufecie, patrzyłem, jak Jan zbierał drżącymi palcami szczątki mojej przyjaciółki, jak wycierał jej krew herbacianą z perskiego chodnika.

— Dobrze chociaż, że herbata nie płami — pocieszała się pani.

Jan, długo szukał w kredensie, aż znalazł małą, pękatą, ordynarną herbatniczkę glinianą. Nie, tej nie będę żałował! Rozsiadła się na mojej koronie wygodnie, jak na kanapie i kłapała nieznośnie, chcąc przekrzywić mój śpiew wieczorny. A ja śpiewałem piękniej jeszcze, niżeli zazwyczaj, przypominałem mojej rozbitej przyjaciółce jej kraj ojczysty, złociste smoki, chryzantemy, budynki dziwaczne o dachach z majoliki, drobne, smagłe dziewczuszki o skośnych oczach, wszystko, o czym ona nuciła, ożyło w moim śpiewie. I nawet taca zapociła się wzruszeniem i nie oburzała się już więcej na moje łzy.

Obca herbatniczka tymczasem trzepała o glinie, z której ją zrobiono, o piecu, w którym ją wypalono; nie zajmowało mnie to zupełnie, była to taka nowa, obca, brzydka herbatniczka. Ucieszyłem się też, gdy pani nalewając herbatę do filiżanek, zauważyła:



Chociażby aeroplanem pojadę na pocztę, ale dziś jeszcze wyrównam prenumeratę za „Mały Światek“.

— Trzeba będzie zaraz jutro poszukać jakiejś innej herbatniczki, ta jest niekształtna... A w samowarze zdaje się sróbka zepsuta, bo wciąż kapie.

— Samowar jutro i tak do wojska idzie, proszę wielmożnej pani.

— Ach prawda! i ten stary przyjaciel pójdzie!

Pani pochyliła się nad filiżankami. Były to siostry mojej herbatniczki, wszystkie jednakie, wszystkie przejrzyste prawie, z przedziwnymi w barwie i wykonaniu figurynkami chińczyków.

— Pójdę...

Spojrzałem po pokoju z nagłą dumą: poszli nasi chłopcy kochani, wszyscy trzej, pójdę i ja.

Zobaczyłem, że w oczach pani rozbłysła łza, za dziećmi, czy za mną, nie wiem, ale serce rozżarzyło mi się wdzięcznością.

Pragnąłem przypomnieć wszystkie wieczory spędzone w tym domu, śpiewałem, przypominałem, jak dzieci były małe, jak biegały radośnie, jak wyciągały ręczyny z garnuszkami po swoją herbatę, przypominałem weselną ucztę dziewczynki i śmierć babuni, odejście chłopców.

Aż lampa wzruszona, lampa, która pyszniła się zawsze swoim blade-złotym abażurem i lśniącym naszyjnikiem z barwnych paciorków, szepnęła:

— Smutno tu będzie bez pana, bardzo smutno.

I buchnęła jaśniejszym płomieniem i żałobnego dymu smugą. Płateczki sadzy zaczęły wirować w przestrzeni i jak czarne łzy opadały na biel serwety, firanek, na siwe głowy pana i pani.

— Lampa kopci!

Przykręcono światło, a ja śpiewałem coraz ciszej, coraz smutniej: I oto odchodzę... idę na wojnę, na wojnę....

* * *

Na drugi dzień Jan wytarł mnie raz jeszcze starannie irchą, zapakował wraz z moździerzem i miedzianym dzbanem, co jeszcze praojców pana pamiętał, do kosza. Ogromnie się ucieszyłem z miłego towarzystwa, chociaż moździerz był zawsze ogromnie zarozumiały i hałaśliwy, a dzbanek usiłował lśnić jaśniej ode mnie. Gdy popołudniu słońce zaglądało do kuchni, to dzbanek zawsze chwycił je i wzięił swoją powierzchnią i lśnił na tle białej ściany, jak drugie słońce. W kuchni nie żegnano nas z wielkim żalem, pękate rynki i garnki cieszyły się, że teraz one zajmą pierwsze miejsce, formy z cynkowej blachy o mało nie pękły z uciechy, że one teraz będą lśnić najpiękniej. A niech tam!

Niósł nas Jan. Podróż była wcale przyjemna, już dawno nie byłem na ulicy, ostatni raz, gdy kurek się zepsuł i zanesiono mnie do naprawy. Wieleż to lat temu, dzieci były jeszcze małe...

Wniesiono nas do jakiegoś gmachu, potem do izby ponurej i wielkiej. Jakiś człowiek w mundurze wydobyl nas i podał jegomościowi w okularach, ten palcem stuknął, głową kiwnął, wydano za mnie pokwitowanie i nagle ujęły mnie czyjeś łapy i rzuciły w kąt na stos samowarów, figurynek, tac, dzbanów. Jęknąłem, bo bok mi się zagiął. Ja, co zawsze stałem wyczyszczony, na pierwszym miejscu w kuchni i w jadalni, leżałem

teraz z obitym bokiem, obolały, na stosie rupieci, sam jak rupieć nikomu nie przydatny.

— Ładnie się zaczyna, niema co...

To moździerz runął na mnie i zagiął mi koronę.

Nadeszły ciężkie czasy, leżeliśmy tak zwaleni na stos olbrzymi, ale czas mijał dość przyjemnie, każdy opowiadał historię kuchni, w której życie przeżył. I znowu porwały nas jakieś łapy i rzuciły na olbrzymi wóz, kołysaliśmy się, objiali wzajemnie, nie było czasu patrzeć nawet na nieba jasny błękit nad nami. Powieszono nas na dworzec kolejowy, przerzucono do wagonu, jechaliśmy stłoczeni tak, że zupełnie wyszliśmy z fasonu, jedno ucho mi odleciało, w brzuchu miałem dziurę, teraz nie poznałaby mnie nawet herbatniczka chińska, a złociста lampa z pewnością nie raczyłaby nawet spojrzeć w stronę takiego oberwańca.

Wojna...

Po zaśniedziałych towarzyszach widziałem, że i ja muszę podobnie wyglądać, nieczyszczony tyle dni, pogięty, niczem nie przypominałem dawnego samowaru, ozdoby kuchni, śpiewaka salonu, terazbym już nawet może głosu z siebie wydobyć nie potrafił.

I znowu rzucanie, przerzucanie i nagle, jak gdyby cud słońca, olbrzymi piec hutniczy rozwarł swoje głębie, poprostu oslepiłem od blasku, zadrzałem, skręciłem się z gorąca, zacząłem się topić, rozpadać, zatracać osobowość własną, przenikać w jakąś masę nową, w coś co było samowarem i dzwonem, figurynką, dzbanem, tacą i moździerzem.

Zanikałem, zanikałem...

* * *

Olbrzymia armata stanęła na pozycji, wyczyszczona, lśniąca, jak samowar — armata.

Ustawiano ją długo, dokładnie.

Wsluchiwalimy się w głosy otaczających nas ludzi i zrozumieliśmy wreszcie.

Mamy zabijać ludzi, niszczyć kraj, burzyć budynki...

My ciche, spokojne, tyle lat ludziom służące przedmioty, wyruszyliśmy nagle w bój, przeciw naszym dotychczasowym panom.

Straszne.

Dzwon kościelny, co zawsze jeno Bogu służył i na modlitwy zwoływał ludzi, stopiony wraz z nami w armatę, drżał bólem.

Z pozycji widzieliśmy błękitną wstęgę rzeki, lśniąca w słońcu mury dalekiego miasta, otaczał nas dzień letni przesycony wonią dojrzewających w słońcu łąk.

I dobrze się nam tak leżało w słońcu, w jakiejś martwej, ociekającej ciszy.

Ryk jak gdyby gromu.



Na pozycji przy „miotaczu min“.
Wołyń 1916.

To my ryknęliśmy, wypływając ze wstrętem wtłoczony w nas nabój.
Poleciał, jak obłok biały, zarył się w grunt, trysnął fontanną ognia,
ziemi, gruzów, dymu.

I znowu i znowu...
Piekło.

* * *

Noc, cisza, armata zastygła w bezruchu.

Księżycowy blask się ściele nad polami, nad rzeką pełną mgły,
ciepła. Czerwcową, cudną noc. Ileż razy w taką noc śpiewałem w zacisnym
pokoju, a przez okno wglądały gwiazdy...

Marzymy o przeszłości.

Opowiada dzwon, jak Bogu służył, jak duszom odchodzącym
dzwonił, radował się i płakał wraz z ludźmi — a teraz....

Figurka dziecka opowiada o tajemnicach dziecięcego pokoiku.

Samowary syczą wspomnieniem cichych rodzinnych gniazd, wie-
czorów miłych po dniach trudu. Przypominają sobie moździerze i formy
smakołyki rozmaite, baby i placki, świąteczną krzątaninę — i idzie
światem nasza baśń, wsuwa się w rowy strzeleckie i śpiącym żołnie-
rzom czaruje wspomnienia rodzinnych stron, zacisza domowego, opo-
wiada czary. Pamiętasz?...

Ranek.

Armata krzepnie na pozycji, urywa się gędzba nocy.

Rrrrym!

Rrrrym!

Mury dalekiego miasta idą w gruzy...

Rrrrym!

Ludzie giną...

I tak co dnia...

* * *

Jedziemy ulicami miasta, lawety mamy strojne w kwiaty, dzwony
bija, tłum radosny przelewa się wśród ulic strojnych chorągwiemi.

Pokój! Pokój!

A dzień taki słoneczny, radosny, letni dzień, jak ten, tam na pozycji.

Gnuśniejemy w beczynności, na wielkim publicznym placu grzejemy
się w słońcu i w podziwie radosnym tłumem.

Już nie wystrzela.

Dzieci wspinają się na nasze lawety,
oglądają, tulą buzie do naszych lśniących ciał.
Nudno.

Cóż dalej, czy tu tak będziemy tkwić
wiecznie?

Dygota w nas czasem lęk, że znowu nas
pognają na wojnę.

* * *

Zabrano nas, jedziemy i znowu czer-
wona, rozżarzona czeluść hutniczego pieca.



Uderzają młoty, pękamy, lecimy w kawałki.
Ogarnia nas żar, topimy się, zatracamy,
omdlewamy...

* * *

Dzwon.

Przed wiejskim kościółkiem stroją nas
młode dziewczęta wieńcami kwiatów, pachną
róże wiejskich ogródków, storczyki leśne,
pachnie świat...

Barwne wstęgi trzymają czyjeś dłonie,
a na placu przed kościołem głowa przy gło-
wie. Twarze szczęśliwe, wzruszone, oczekujące.

I słońca moc.

O jak cieszą się w naszym stopie wszystkie dzwony, samowary,
formy, tace figurynki, moździerze!

Kołyszymy się, płyniemy w górę, drżą na nas krople wody świę-
conej, jak łzy.

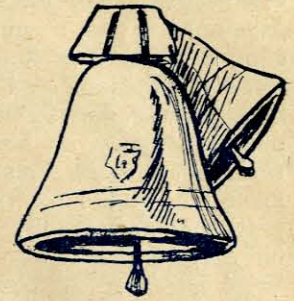
Co za widok!

Góry, lasy, strumienie, a nad nami błękit nieba...

Och! rozkołysaliśmy się modlitwą, uderzyliśmy ku niebu wielkim
hymnem dziękczynienia.

My, dzwony!

Marja Czeska-Maczyńska.



SZANUJCIE OCZY!

Nie darmo się mówi, że ktoś jest „oczkiem w głowie“ mamusi, bo
oko — to skarb nad skarby... Czyście się wczuli kiedy w dolę ślepca?
Może tym niewidomym jest dziecko w twoim wieku, Haneczko, Jurku...

Jak świat dla nich zamkniętą ma skarbnicę swych cudów malo-
wnicznych, jak oni ubodzy na tej ziemi przepięknej! A przecież — przez
naszą winę i my możemy stać się niewidomymi jeśli nie całkiem, to
częściowo. Wystarczy nie szanować swych oczu od młodu, a za kilka
lat trzeba będzie sprawnie okulary, bo się bez okularów nawet mamu-
sinej twarzy o 10 kroków nie pozna... Co oczom szkodzi i jak je
„szanować“? Oko to cudowny przyrząd, który odbiera z zewnątrz wra-
żenia wzrokowe, dostosowuje się do światła słabszego lub silniejszego,
dopasowuje swe poszczególne instrumenty na widzenie przedmiotów
odległych lub bliskich. Ale im bardziej maszyneryja subtelna, tem ostro-
żniej się trzeba obchodzić (kto ma zegarek, ten wie, jak tu trzeba uważać)!

Czujemy nieraz, że się nam oczy zmęczyły — to znak ostrzegawczy,
żeby im dać chwilę spoczynku. Męczy nas zwłaszcza czytanie o zmroku
i czytanie w pozycji leżącej; psuje się też oczy od czytania i robótek

w silnym słońcu — można od tego nawet oślepnąć, czy to nie straszne? „z okiem — jak z zegarkiem“, owszem, jeszcze ostrożniej, bo zegarek choć drogi, można kupić drugi; a oka drugiego za wszystkie złoto ziemi nie dostaniesz. Psują się oczy, gdy trzymamy książkę zbyt blisko, bo się wtedy dopasowują i przyzwyczajają do widzenia na blisko — i stopniowo stajemy się krótkowidzami. A już nigdy nie trzeba patrzeć w słońce, na śnieg lśniący w słońcu, na ładne, ale męczące wzrok „zajaczki“ od lustra... I nie trzymajmy oczu brudnymi rękoma, ileż urażeń oka przy tem, ile chorób, zwłaszcza jaglicy, można dostać. Jadąc koleją nie patrzcie przez okno tak, by wam węgiel od lokomotywy mógł wpaść. Więc bacność — szanujcie oczy, a będą wam służyć długo.



DLACZEGO DMUCHAMY NA ZUPĘ?

Jak to nieprzyjemnie oparzyć sobie buzię! Tymczasem zupa nieraz taka gorąca, że mieszamy i dmuchamy — choć to nawet niebardzo wypada — a zupa ostygnąć nie chce. Patrzcie jak się Zosia męczy nad swoim talerzem! Wie ona, że przez dmuchanie zupa ostudzi się, ale nie rozumie dlaczego to się stanie. A wy czy rozumiecie? Jeżeli nie, to posłuchajcie.

W zupie znajduje się woda, która pod wpływem gorąca paruje, to znaczy zmienia się w drobniutkie banieczki pary, które usiłują dostać się jak najwyżej. Trudno jest jednak banieczkom ulecieć w górę, bo powietrze znajdujące się w pokoju naciska na nie i nie pozwala na tę podróż. Trzeba więc dopomóc im przez dmuchanie na zupę. Prąd powietrza porywa wtedy ze sobą owe gorące cząsteczki pary wodnej zebrane na powierzchni, a następne cząsteczki korzystają z chwilowego rozrzedzenia powietrza i unoszą się kłębam pary w górę. W ten sposób najgorętsze cząsteczki zupy opuszczają talerz, a pozostaje dla Zosi dobra, ciepła zupa. Szkoda tylko, że tej zupy będzie troszkę mniej niż przed dmuchaniem, ale to „troszkę“ jest bardzo małe. Gdybyście postawili zupę na ogniu i dmuchaniem pomagali jej do parowania, to po pewnym czasie nie zostałoby nic „mokrego“ w garnuszku. Myślę jednak, że nie będziecie robili prób z dmuchaniem przy stole, bo to nie należy do dobrego wychowania.

B. M.

O „TOWARZYSTWIE OPIEKI NAD ZWIERZĘTAMI“.

Drogie dzieci! Z niezależnych ode mnie powodów nie mogłem wam napisać w zeszłym numerze „Małego Światka“ o kochanym Towarzystwie, a myślę, że każde z was radeby coś więcej o niem wiedzieć. Więc dziś biorę za pióro.

Każde stowarzyszenie ma swój cel. — Jaki jest cel „Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami“ — powie wam jego statut: ma ono za zadanie ochronę zwierząt przed złem i srogiem obchodzeniem się z niemi, oraz wpływanie na polepszenie ich doli. Aby to zadanie spełnić, Towarzystwo stara się pismem, czynem i słowem rozszerzać współczucie dla niedoli zwierząt, a także organizuje i prowadzi schroniska, punkty opatrunkowe, lecznice dla zwierząt, myśli o tem by tworzyć spółdzielnie paszy, żeby właściciele zwierząt mogli je taniej wykarmić. Towarzystwo wnosi też nieraz do Rządu Rzeczypospolitej podania o wydanie zarządzeń potrzebnych do stałego czy jednorazowego usunięcia jakiejś krzywdy zwierzęcej.

Przytem, jak już wam pisałem, każdy członek Towarzystwa stara się, by nie dopuszczać do znęcania się nad zwierzętami w swej obecności, zwraca się do władz wyższych, jeśli sam nie może zapobiec złemu, a Zarząd Towarzystwa i władze państwowe są obowiązane członkowi dopomóc.

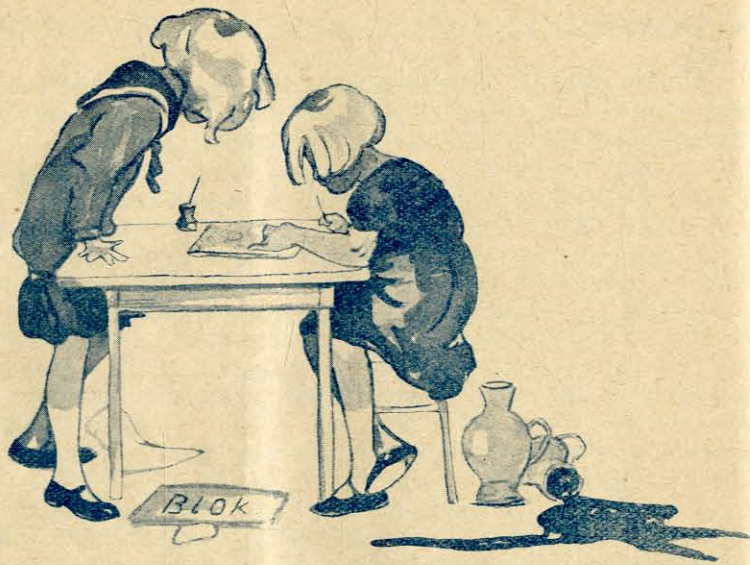
Żeby ludzi zapoznać bliżej ze zwierzętami, żeby im pokazać dobre strony nieraz niesłusznie oczernianych zwierząt, żeby nauczyć ich rozumieć zwierzęta i odczuwać ich dolę i niedolę, Towarzystwo wydaje miesięcznik p. t.: „Przyjaciel Zwierząt“ (adres: Warszawa, Wiejska 18, opłata roczna 4 złote); w tem piśmie dużo jest bardzo ciekawych opowiadań prawdziwych z życia zwierząt domowych, dzikich, są różne wiadomości o ogrodach zoologicznych i t. p. instytucjach, o zwyczajach zwierząt i o tem, jak się z niemi trzeba obchodzić.

Do Towarzystwa należą różne rodzaje członków: członkami rzeczywistymi są ludzie dorośli, a członkami popierającymi mogą zostać wszyscy bez różnicy wieku. Członek popierający składa roczną składkę 2 złotych, a pieniądze te idą na cele Towarzystwa, przyczyniając się do polepszenia niedoli naszych czworonożnych „przyjaciół“. Żeby zostać członkiem popierającym, trzeba wpłacić 2 złote, podając swe imię, nazwisko, adres — zwać się z tem należy do oddziałów Towarzystwa, istniejących w danem miejscu, lub do centrali w Warszawie (ul. Wiejska 18).

No, narazie dość wam chyba powiedziałem, a teraz pukam do waszych młodych serc, pytam, czy nie chcielibyście zostać członkami Towarzystwa? Możecie zebrać jakoś 2 złote — i wpisać się na Nowy Rok, przyczyniając się tem do lepszej doli Burków, Mruczków, Karych i Gniadych i wielu wielu bezimiennych, a często głodnych i bitych „przyjaciół“, aż kiedyś, za lat kilka, jak dorośnięcie, będziecie członkami rzeczywistymi, co to już naprawdę dużo robia.

— Życzę Wam tymczasem, by waszym pieskom, kotom, kurom itd. było z wami dobrze.

Ignacy Mazinek.



KRAKÓW ROŚNIE POMALUTKU...

Uzbrojony w zapas wszelki —
 Od farbeczki do muszelki,
 W wiele farbek, mało gumek
 Kroczy szeptogwarny tłumek.
 Szeregami, parczkami,
 W liczbie — aż się nie pamięta —
 Suną małe człowieczęta.
 Mały ludek nagle spada —
 Wczerni pulpitów blask się skrada...
 Świr, świr, ćwir, ćwir, ptasząt rzesza
 Pośród bloków się rozwiesza.

Swir, świr, ćwir, ćwir, trudów moce,
 Każdy o coś się kłopoce,
 Ten o cudze, ten o własne,
 Temu jeszcze nie dość jasne.
 Potem w blokach rosną cuda
 Choć się czasem i nie uda,
 Niema zwątpień, niema smutku:
 Kraków rośnie pomalutku —
 A więc mały ludek Boży
 Cegiełeczki w przyszłość tworzy.
 B. Świtycz.

OD REDAKCJI.

Pewnie jesteście bardzo ciekawi, co też Redakcja powie Wam na dziesięciolecie niepodległości. A tymczasem Redakcja nic nie powie — Wy musicie sami się domyśleć. Wszystkie nasze pragnienia, radości i marzenia zamykają się w dwóch słowach — przeczytajcie uważnie cały numer, a potem napiszcie do Redakcji, czy znaleźliście te słowa przepotężne. W tym miesiącu wielkie pole pracy otwiera się przed Wami. Pewnie dużo czasu poświęćcie na strojenie szkoły i klasy, na obchody uroczyste — ale pamiętajcie, że najwięcej chwały przysporzycie Ojczyźnie, wznosząc dla niej żywe pomniki. — Zdziwiliście się —

nie wiecie czego od Was chcę. Ale to bardzo proste. Żywymi pomnikami możecie być Wy sami, albo też inne dzieci. Jeżeli chcecie równie przysłużyć się Ojczyźnie, jak Wasi ojcowie, lub może starsi bracia, to powiedzcie sobie: oddam Polsce wszystkie moje siły, dlatego będę modlił się za nią, dla niej będę się uczył i pracował sumiennie. Można budować żywe pomniki w inny sposób: np. twemu koledze źle idzie nauka — dopomóż mu, niech jego dobre odpowiedzi będą żywym pomnikiem twojej miłości Ojczyzny.

Dziękuję bardzo za liściki, zwłaszcza Wł. Schulta ucieszył mnie długim opisem swojej wycieczki i nadesłanymi kartkami dla misji w Rodezji. Spodziewam się, że niedługo od wszystkich nadejdą znaczki pocztowe, staniol, kartki dla naszych czarnych braciszków i siostrzyczek. Jakie niespodzianki obmyślcie na gwiazdkę dla rodziców, rodzeństwa i biednych dzieci? Jeżeli macie z tem kłopot, to przypomnijcie sobie, że zawsze możecie napisać, a chętnie poradzi Wam Redakcja.

Na długie wieczory jesienne przygotowała Wam Księgarnia św. Wojciecha prześliczne książeczki. Zapoznajcie się koniecznie z „Żołnierzykiem Chrystusowym“ przez A. Szottową, który żył tak krótko, jak wy, a jednak umiał bardzo zbliżyć się do Pana Jezusa. „U progę służby Bożej“ i „Promienny żywot harcerza“ również przez A. Szottową — będą dla Was napewno źródłami nie tylko przyjemności, ale i wielu myśli głębszych, a może i dobrych postanowień.

WIELKA LOTERJA DLA WSZYSTKICH

!!! CZYTELNIKÓW „MAŁEGO ŚWIATKA“ !!!

W N-rze 4 zostaną włączone do każdego egzemplarza losy na loterję. W dniu św. Mikołaja nastąpi rozlosowanie — fanty są różnej wartości. Po ogłoszonym wyniku loterji nastąpi rozesłanie wygranych przedmiotów, — ale otrzymają je tylko ci, którzy uiszcili prenumeratę za „Mały Światek“.

Blizsze wiadomości w następnym numerze.

DOBRE ROZWIĄZANIA ŁAMIGŁÓWEK.

Z N-ru 7-go „Małego Światka“ nadesłali: z Kościerzyny: Władysław Schulta; z Wojtkowej: Zosia Nowosielecka; ze Stanisławowa: Hala Teodosiewicz; z Królewskiej-Huty: Hania Lekówna; z Suchoj: Walercia Matusikówna; z Kostopola: Stefan Bartczak; z Poznania: Adela Kubisówna; z Świętochłowic: Hania Grabowska; z Krakowa: Jadzia Machnicka; z Bełka: Ewa Albinowska.

Z N-ru 2-go „Małego Światka“ nadesłali: z Niska: Edward Skrzat; z Krakowa: Stasia Mazurówna, Malinusia Cnotówna; z Da-

brówki: Alojzy Ćwikliński; z Jaworowa: A. Kornafel; z Pucka: Jan Brill; ze Zblewa: Zosia Śliwówna; z Siemianowic: Małgosia Czerna.

Rozwiązanie łamigłówki obrazkowej.



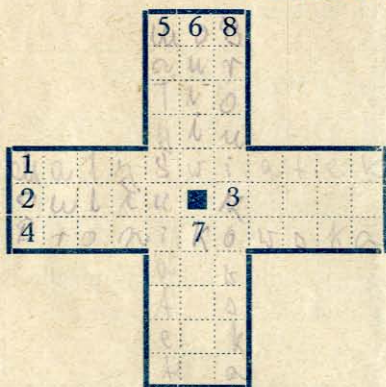
SZARADA: Topola

ZAGADKA: Litera „e”.

REBUS: Miasto.

ŁAMIGŁÓWKI.

ŁAMIGŁÓWKA (uł. Wł. Schulta).



W krzyżu tym zmieścić cztery wyrazy, które poziomo i pionowo mają to samo znaczenie.

poziomo — pionowo

- | | | | |
|---|---|---|-------------------------------------|
| 1 | — | 5 | tytuł miesięcznika |
| 2 | — | 6 | miasto polskie (wspak) |
| 4 | — | 8 | nazwisko redaktorki znanego pisemka |
| 3 | — | 7 | stolica państwa w Europie. |

KONKURS.

Do jakiego kraju należy pojechać, żeby zobaczyć domki ze śniegu?

Za najlepsze odpowiedzi 5 punktów i nagroda książkowa.

Odpowiedzi należy przysyłać najpóźniej do 20 listopada b. r.

Rok wydawniczy rozpoczyna się 1 września. — Opłata roczna wynosi 2 zł, kwartalna 60 gr, cena pojedynczego egzemplarza 20 gr. — Przy nadsyłaniu kwoty mniejszej niż 2 zł, należy dodać 5 gr. na porto. — Kto uiścił prenumeratę do stycznia 1929, winien do końca obecnego roku wydawn., dopłacić tylko 50 gr. — Adres Redakcji: Kraków, ulica Starowiślna 11. — Konto P. K. O.; „Dziś i Jutro” Nr. 404.930.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: Julia Felicja Bronikowska.
Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie, ul. Tad. Kościuszki 3.